

DZIENNIK

Warski.

LWÓW 1 SIERPNIA 1841.

Nr. 15.

ROK DRUGI.

Wychodzi 1 i 16 każdego miesiąca, do każdego numeru dołączone są dwie ryciny. Prenumerata wynosi we Lwowie półrocznie 5 złr. 15 kr., rocznie 10 złr.; bez rycin półrocznie 2 złr. 30 kr., rocznie 5 złr. Dla tych którzy pocztą ten dziennik odbierają dolicza się do powyższych cen za przesyłkę pocztową od jednego egzemplarza półrocznie 48 kr., rocznie 1 złr. 36 kr. srebr. Prenumerować można w kantorze Tomasza Kulczyckiego pod liczbą 301 w mieście, tudzież w krajowych i zagranicznych urzędach pocztowych.

M O D Y.

Stroje damskie. Kolorowe muszliny jak i inne bawełniane materie całkiem prawie wyszły z mody, tak dalece urozmaicone i udoskonalone zostały materie jedwabne i wełniane. Niemal w jednakowej cenie jak muszliny i żakony są barysze w najświeższych kolorach, kitajki z gałęzmi i girlandami kwiatów, gazy tiulowe, fulardy i ukwiecone pekiny; wszystko to jest piękniejsze i dla modnego świata właściwsze od muszlinów, a przynajmniej nieszkodzą mu owe tysiączne zgjęcia, które suknię muszlinową w jednej godzinie popsuja.

Zasłony i półzasłony zyskały tego lata szczególniejszą wziętość. Nigdy nie były tak urozmaicone w kształcie i sposobie używania: noszą je i w zaniedbańszych i wystawniejszych strojach. Na kilka cali szeroko wieszają się przy krepowej kapotce, spadają z włoskiego słomkowego kapelusza, i ulatują nad kastrowym kapelusikiem jeźdźcy.

Nowa materia *pagne* robi wielkie wrażenie w modnym świecie. Inna nie mniej podziwiana tak z powodu bogactwa jako i oryginalności jest w guście wschodnim, przywieziono ją z Bajrut. Jestto tkanka wielce podobna do białego kaszmirmuszlinu, mająca krawędzie w pyszne wzory w najpiękniejszych odcieniach.

Z ozdobami ma się tak samo jak i z materią. Każda pora roku ma sobie właściwe. Teraz najulubieńsze i najposzukiwানে są korale w kształcie kameów. W stroju dnio- wym najlepiej się wydaje złoto jako też perły. Skromniej zaś, powabniej i więcej

wieśniaczo ubierają miasto pereł korale, których prawie do istotnych ozdób nie liczą, ponieważ nie mają blasku a jednak wdzięk stroju rzeczywiście podnoszą.

Ozdoby te jednak nietylko muszą być skromne, ale urządzone tak aby miały pozor użyteczności. Tak np. korale w kształcie kameów zastępują niby guziczki i służą do podpięcia draperiów, do umocowania mankietów lub upięcia chustki, albowiem wychodzi się z tej zasady, że na prowincji niepotrzeba strojów lecz prościuchnego ubrania.

Stroje męskie. Fraki noszą dwójakiego kroju. Jedne są bez patków, wykładają się na piersiach szeroko, a klapy wystają o 3 centymetry poza ścięcie kołnierza. Drugie są z patkami, które się dają o kilka centymetrów niżej biodr. Guziki sięgają niżej pasa, a klapy i ścięcie kołnierza jednakie jak i u tamtych, poły tylko ścięte są z okrągła.

Surduły noszą z dwoma rzędami guzików, a wykładają się do ostatniej dziurki. Kamizelki zapinają się dość wysoko, przynajmniej najczęściej widać tego rodzaju zapięcie.

Nieprzesadzajmy.

W tym roku pogody i słońca zadąsał się ostatni dzień czerwca, właśnie nad wieczorem, gdy wesola Aniela zarzucała na swe ramiona kraciastą mantylkę, z pracowni pani Adamskiej, a poważna mama poprawiała kapelusik słomiany na roztrzepanej główce córeczki; i nagle zwichnął prze-

chadzkę po wałach naszego miasta. Gorzej niż niebo zamroczyło się piękne czoło Anieli; czy żal za muzyką co tak mile przypominkiem tonów zimowych porusza drobne nóżki przechadzających, czy żal za jakimś cię pomyśleniem, rachubą, spotkaniem, powlekt łezką lice Anieli? o, to niezgadnę, i wy niezgadnicie, bo swawolne ośmnastoletniej dziewczyny serce, oprawione w miejski sposób udania, tajemnicy i kryjówki, zabarwione raznawazwie i na wszystko uśmiechem, temu ino niemajaczy kto doń cicho, pokątnie kocham cię zaszczebiotał, i cichszą jeszcze odebrał odpowiedź. Faworytka *Vecosa* (bo to znów wiek faworytek i piesków) spadła łoskotnie pchnięta od kolan swej pani, i poszła skomleć na włóczkową poduszkę. Przytraśnięto szybko ciekawnika *) jakby chciało powiedzieć: nawet niebędę się patrzyć; zgoła burza główki anielecinej, i burza ulicy podały sobie ręce, by hulać w najlepsze.

Wtem w drzwiach bawialnej komnaty załętnił prędki krok jakiegoś blondyna: rajtfrak jego zielony, któremu wprawnej ręki nieżałował pan Kulczycki, odstaniał całkiem gjętką i wzniosłą szyjkę, na której lekka półtałasowa chusteczka składnie się wila; mleczny wąsik skarżył się młodością, włosy krótko cięte zbiegały się na pięknem czole obwódka loków starannie zwiniętych; zapach cygara kręcił się jeszcze wokoło wydatnych ust młodzieńca uśmiechających ku witaniu dam. Bo u naszej młodzi głowy teraz tak zpoważniały, że na witanie starszych nawet i niewiast, broń boże ich uchylić, ugiąć; chcecie wiedzieć dla czego? oto, wielu z tej młodzi może i niechce zaświecić damom w oczy swoją przedwczesną łysinką, którą czubek lokowany dobrze zakrywa. Nasz pan Władysław nie miał łysiny na głowie, lecz kłaniał z miejska, mieszcza-nin. Pani O* matka Aniela rzekła przyjemnie: witamy! a sama panna Aniela z wolna urobiła twarzą kilka lekkich kolorów: niebo gdy się rużuje, zanim pogodą zabłyśnie.

— Przeczulem niepogodę, i wiatr, co mnie przymusił zajrzeć do xiegarni, wyniósł mnie z tamtąd do państwa, z nowem dziełkiem powabnem; może ono wynagrodzi tak niepotrzebnie przerwana przechadzkę na wałach, co dzisiaj miała być tak świetną; to mówiąc Władysław rzucił okiem w lica Anieli.

— Czy pan również na wały się wybierał? spytała pani O*.

— Zdaje mi się że wczoraj o tem wspominał, odrzekł Władysław, ciągle okiem w oku Anieli.

— Widzisz Aniela! a przeciwiłaś mi że o tem wzmianki pan Władysław nierobił, i ciągle się biedziłaś że będziem bez towarzysza.

— Może i niechciała panna Aniela przejść się z paną dzisiaj po wałach; zagadł skwapliwie i ostro, snać urażony panicz.

— Owszem, od pół godziny już moja córka była gotową i nagliła mnie ku wyjściu.

Przez cały ciąg tej rozmowy Anieli główka, listek u drzewa, przerzucała się w ramionach, to do okna, to od okna, by ukryć, utulić co się w twarzy dzieje. Jestto sposób równie dobry, jak inny, nieukrycia się, a nie wiele wymagający dowcipu, dla tego radzę go wszystkim pannom, niewiedzącym co z sobą robić gdy im ktoś wyrażnie do serca zagląda. Pan Władysław jak widać bezwstydnie napierał się zajrzeć w serce Anieli, snać chciało mu się godzić na pewno, a to teraz nieuchodzi. Pół chcenia, pół niechcenia tworzy dopiero właściwą kobietę świata; pół chceniem przynęca, wabi cię, kiedyś samotny, owikłany jaką myślą niejasną, zaprzepaścisz się przy niej w rozmowie i zatniesz, a wtedy bojąc, czy się nieodmyślasz od niej, czy cię nietrudzi zawód którym ci stapać kazała, obrzuci ci słówkiem niby ciekawszem o tobie, tro-skliwszem, i z cicha szepnie: co panu? dzisiaj tak smutny? Ale niechno nadleci świat pod tę chwilę uroczą w osobie jakiej przyjaciółki lub kuzynów, i znacznie głośnie, huczne rozmowy, a ty jej dalej, rozbudzon pierwszym wyrazem, wyłosisz zamknięte uczucie; o! wonezas przyskoczy do niej owo półniechcenie, ów umizg którym ona od ciebie wraca w łono świata, przyjaciółek, kuzynów, i okiem surowem, od zdziwienia niby, zimno ci przytnie: a to znowu co za zwierzania?

Jeszcze ty pobocznemi drogami biedny mój Władziu długo powałasasz, zanim zdobrzeje panna Aniela. Bo i teraz wygadanie się mamy przyjęła krzywo i kwaśno, a jaśniejące kochanka oko lekkim drapnięciem chcąc zbiedzić, z przekomarzaniem odrzekła:

— Spieszylam dla Wandzi, a całkiem o bytności wczoraj pana Władysława nieba-

*) Wasistas.

cząc, przepomniałam, daruj pan, i tego coś mówił.

— Nieraz i ja tak zrobiłem: mierzyłem wptaka, a trafilem w płot; coż więc chcecie, gdy nieobaczna a sprzeciwiona dziecina za szparko rzuciła słowem. Przeciągnęła się łokciowo blada twarz Władysława, i białymi ząbkami zehrobotą, jakby zgryzł orzech, i cicho. Postrzegło jednak zdąsane dziewczę że za daleko swem słówkiem odśadziło paniczą, bo się podjął jakby ku wyjściu; szczęściem deszcz lał, on wzmowie ze złym humorem Anieli. Uderzyć i pogłaskać to natura pocziwych dziewic, więc zgrabnie i od niechcenia.

— Coż nam pan dobrego przyniosłeś? pan zawsze taki pamiętny, łagodnie szepce Aniela, a w jej głosie proźba, cicha, potulna, i owo konanie hurzy, które zbudziła niepogoda, a nieostrożność mamy poddmuchła.

Przyjął to zawieszenie broni Władysław, wprawdzie nie tęgi wojak w komnatnych utareczkach, lecz sobie pomyślał: poczekaj, z tydzień niebędę u ciebie, a na teraz chrypkowatym trochę od gniewu głosem rzekł zwolna:

— Dla matki pani śmiałem przynieść najnowsze powieść: Annę Czajkowskiego.

— Czytajmy! czytajmy! zawołały córa i matka radośnie, co za szczęśliwe zdarzenie: deszcz pada, wyjść niemożna, nowa powieść!

— I chwalebna powszechnie dorzucił czyściejszym już głosem Władysław, bo u dobrego człowieka zagniew jest prędkim wystrzałem niemierzonym w pierś przeciwnika.

— Żebyś to pan był łaskaw swojego głosu użyć tej powieści; z proźbą zarzuciła pani O*.

— Ale przerwie Aniela z uśmieszkiem figlarnym, może to zmęczy, bom uważała jak pan niedawno trochę zachrypnięto mówił.

Popatrzył Władzio w Anielę i zaśmiał; a jakby na znak wolnego już głosu, przytknął swe usta do jej białej rączki i czytał:

Ciekawość i lubość siadła na licach słuchaczy, i jak wam, coście czytali tę powieść niegubiły się myśli daremno w splocie słów bez ładu lub w rzeczach bez pomyslenia. Charaktery, czyste, niezamotane nadzmysłowemi uczuciami, kolej rzeczy prosta nietamowana dziwacznością potworną: odbijanie się Anny od szczęścia które miała na doręczu tak blisko że właśnie cały powab dla niej swą bliskością traciło, a rojenie go tam kędy coś nieznanego, tajemniczego, dalekiego. W tle obrazu ów powiew wabny,

prawdziwy, niezdrowej mody, co obwiewa teraźniejsze życie niewiast naszych, kreślone bieglem piórem znakomitego pisarza, pieściło i łajało duszę słuchaczek; nieraz popatrzyły na się badając gdy jakiś trafny wyrzut spotkał ich ze znajomą twarzą, gęściej matka popatrzy w córę, gdy ta westchnie, westchnieniem Anny szalejącej za zwodniczym blaskiem Barowicza. Łza im płynie, jakby za znajomymi, za krewnymi, gdy Jan zmiąwszy list Anny, pożegnawczy, odpychający, ucieka do Odessy, gdziebądź, byle uciec od niej. Drzał czatujący młodzian, i ponuro wtórzył sobie wielką naukę Jana, gdy ten sobie wyrzuca zagubę kochanki, gdy miasto ją przywabić czułem wylaniem swego serca, on na się strój mentora włożył, i chciał ją układać na żonę, nie przyswajać na towarzyszkę, kochankę. Szczerość powieściarza co się aż dowcipem stała, nieraz im wśród łez miły uśmiech na ustach rozbudza, i całą gorzką naukę staropolskim miodem cukruje.

Kilka godzin przeżyli, przetęsknili, przepłakali, nie dla siebie, i w końcu ucieszyli się nie swoim szczęściem. O miła rozrywkę umysłu! gdyby ino ten owoc z ciebie, owo chwilowe zajęcie się innym, nie sobą, ten pociąg co choć ku zmyślonemu bratu swemu, a przecież kłoni ci serce, i każe jego nieszczęścia litować, dośchy było, by cię ludziom wszelakim zalecić. Kradzież takiej chwili z czynnego żywota ludzi, jest kradzieżą dla ich przyszłości. Pani O*, Aniela i Władysław nie żałują już deszczu, wiatrów, muzyki, niepożalują może nigdy stonowczych wrażeń, co uderzyły wypadkami swojemi w ciągły czytania.

Po przerwie zamyśleń i ukojeniu fantazji poczęła się wiązać rozmowa, której trzy struny tak do siebie różnie wstrojone: matka, dziewczyna, kochanek, i w uczuciach swych porwane powieścią rozprawdzali myśli zbudzone jednym przedmiotem.

— Więc nie zawsze można wierzyć sercu, gdy od nas z łona się porwie? tęsko zawiodła Aniela.

— Więc nie zawsze można się dzierżyć nadziei podobania się niewieście, choć serce czyste a prawe, choć jej ze szczęściem zapragniesz? ozwał się młody Władysław, obrzucając Anielę wzrokiem badającego kochanka.

— A więc nie zawsze przyjaźń matczyna ku córce, podzielać ją, jak świat chce teraz, nowe zwyczaje i ideje mody, uczyni szczęście dziecinne? wtórzyła matka Anieli, su-

rowo w głąb swego serca zapuszczając pytanie?

Trzy te prawdy zostały bez odpowiedzi, bez zarzutu, bez zaczepki, i wpłynęły zbadane, w zbawienny pokarm ich ducha.

— Ale powiedźcież mi proszę, pytała matka ztroskana, kto był właściwie przyczyną zbłąkania biednej Anny? To mówiąc drżała poniewoli, bo jej serce czułe, drażliwe, matczyne, bało się tej odpowiedzi w ustach młodych, którą sama pocichu wtórzyła sobie: „Jej matka.“

— Kto przyczyną jej zbłąkań? — Barowicz, dziwny, tajemny, miły, przyłuszony zbrodzień, zerwała panna Aniela.

— Dozwolą panie, rzekł Władysław porweco, kto przyczyną jej zbłąkań? jej własne serce, bo serce kobiece, kapryśne, rozstrojone czytaniem pani *George Sand*, Balzaka i tym podobnych pisarków.

— A jednak panie Władysławie! ja nie wierzę temu, odpowie pani O* poważnie; czytanie usposabia, ale nie tworzy serca; ułudzi, ale niepopchnie w głąb kału mocno wkrzepionej cnoty. Między zachęceniem chwilowem dziewczyny, a czynem, tak wielka nić domowych pierwszych wrażeń snuje się, że trzeba więcej niż szalu łązki by zwiechnąć życie poczeiwe.

— Panie mnie niewierz! więc niechaj sam Czajkowski odpowie, jeszcze raz odczytam to zdanie: „*George Sand*, Balzak to trucizna cukrem zaprawiona i podana w diamentowym kielichu; kto usta do niej przytknie, to od niej ust oderwać niemoże, a kto jej zakosztuje musi wypić do końca.“

Jakże? nie Balzak i pani *George Sand*owa wraz z całą szkołą owej szalonej literatury, jak ją słusznie przezwiał Michał Grabowski, rozczytają ów pęd ku złemu? Bieda im! ogień ich piersi nieczystych wdmuchiwa zarazę w piękne łona świeżych kwiatów naszych.

— Hola, hola, przerwał głos mocny wchodzącego do komnat samego pana domu; gore! pali się! to prawda panie Władysławie, ale widać po twojej mowie (bom ja całą miał zaszczyt dosłyszec zrucając suknie przemokłe) że niewiemy gdzie się pali, więc krzyczym: u sąsiada się pali! — Nie tak kochanku! z groźbą i odkazaniem tam uderz, kędy sam namacasz prawdę, nie gdzie cię głos jakiś wiedzie. Rozumujmy, nie krzeczmy; i ja mam czytać *Anie* i ja mam czytać

w szlachetnym celu rzucony kamień przez Czajkowskiego i Grabowskiego na Balzaka, *George Sand* i t. d.; lecz spytajmy czy Balzak tylko *Contes drolatiques* napisał? a reszta pism jego czyż nie patrzy nowym poglądem na rzeczy? i czy w swoim czasie niezwrociła całą szkołą powieściarską francuzów od małpowań niedołącznych walter-skotyzmu? Człowiek, co stanął w przekor potokowi bijącemu w jedną, by go zawrócić ku innej stronie, i zawrócił, będzieżże u ciebie bez zasług, bez ducha, bez znamion silnej, moralnej władzy? Że się pęd jego, który on nadał, spaczy albo za krzywo rozbryźnie, toż go kamieniem przywitać? Czekałmy! są szaty, bo się młodo skoczyło w ten zawód; ale cały głos Europy przyjął jego imię do swej pamiątki, musiał więc za coś to uczynić, bo na tym świecie nie darmo. Narośla grzybowate ukłamanych szatów, odpaść odpadną; chwilowa ciekawość bierze je w rękę, i nazajutrz rzuca, czy to go Balzak, czy pani Sand, czy ich naśladowcy urobiją; lecz pogląd ich, zastosowanie filozoficzne przedmiotu do podmiotu, przyczyn do wypadków, i to głębsze zbadanie pokojowych przygód, które potem nieraz są zasadą wielkich publicznych wypadków, to zastąga, której żaden nasz krzyk nieodejmie. Ot wiesz co panie Władysławie: nie przesadzajmy! Od niejakiego czasu widzę, że was się jakieś wyłączenia literackie, purystoskie czepiają; nie przesadzajcie, a wszystko będzie dobrze. Wyłączenia i puryzm tworzy szkoły, szkółki literackie; to diabła warte! gdzie szkoła tam i stronnictwo, a to nie dobrego niewróży. Przekonywać i rozbierać, a nie straszyć i wyklinać sęto hasła tych co chcą być uczycielami ogółu. Ja na me dziecko Anielię nie krzyczałam nigdy: nie jedz bo się sparzysz! gdy barszcz był gorący; bo dziecię woli się może sparzyć, a pójść za ciekawością i wolą swoją; ale mówiłem: Anieliu! gdy cię to sparzy, weź prędko zimnej wody, to ci usteczek niespiecze — i patrz Aniela zdrowa!....

Kto miał z nich słusność? moi panowie i panie sądzcie jak chcecie.

Dominił Magnuszewski.

Wspomnienia Semenowych powieści,

przez
Wincentego Pola.

II.

(Ciąg dalszy)

— Nie ruszaj się mówić czarnoksiężnik, bo ona jest już blisko. Sowa krzyknęła za oknem i uderzyła skrzydłami po szybach. Czarnoksiężnik otworzył drzwi, a biała jak lilia wstąpiła panna do pokoju, w nocnej bieliźnie, z roztrefionym włosom, jedna noga w złotym trzewiku, a druga tylko w ponczosze, widać że się już do snu rozbiierała. Drżąc przeszła przez pokój, siadła na krześle, oddychała długo, i patrzyła w koło obłąkanym wzrokiem. „Wody! wody!“ wołała. Kawaler chciał się zerwać z krzesła, a panna bez duszy padła na ziemię. Siedź kamieniem, albo zginiecie, krzyknął czarnoksiężnik, i zagasił jedną świecę, wziął wody, ocucił pannę i złożył ją na krześle. Zwolna przechodziła do siebie, a kiedy pierwszy raz mocno westchnęła, znowu się świeca sama zapaliła. — „Wody! wody!“ wołała, a napiwszy się przejrzała znowu. Kto mię woła? zapytała po chwili. Ja cię wołam moje życie! moja duszo! rzekł kawaler i wyciągnął do niej rękę.

— Czego chcesz?

— Abyś była moją, moją na zawsze.

— Jakże będę twoją, kiedy mię innemu oddaję!

— Będiesz moją, uwiozę cię.

— A bóg? a rodzice?!

— Bóg znami Rodzice przeproszą się.

— Dobrze, byle być twoją byle żywą.

— To zostań już ze mną, i ujedziem w świat, po drodze wstąpiam do kościoła i weźmiemy ślub.

— Teraz niemogę. Z domu mię bierz. Jutro pod wieczór pójde z panną moją do łaźni, ja wezmę jej suknie o mroku, a zaśadem, za okopem czekaj mię.

— Daj mi znak żeś moją, bo niewierzę sam sobie żem cię widział.

— Coż ci dam, chyba spinkę od koszuli. Oderwała ją od szyi chciała podać, ale brylantowa spinka położyła się i stanęła na brzegu koła, w którym krzesło stało.

— Dajże i ty mnie co, bym wiedziała żem już twoją.

A on dał jej sygnety z klejnotem co nosił na rękę.

— A teraz puszczaj mię! puszczaj mię!

Sowa zawrzeszczała za oknem. Czarnoksiężnik drzwi otworzył, z krzesła powstała panna i biegła ku drzwiom, kawaler zerwał się za nią, wszystkie świece zgasyły, w powietrzu zaszumiło, bez zmysłów padł kawaler na ziemię; a kiedy się ocknął, było dzień biały, zasłon u okien nie było, krzesła stały na miejscu, a czarnoksiężnik ani słychnu, i snem byłaby się wydała noc przeszła, gdyby nie brylantowa spinka panny która obok kawalera leżała na ziemi. — Około południa wpada posłaniec: panna nie żyje. Znalaziono ją na łóżku, w nocnej bieli, z roztrefionym włosom, z rozdarta pod spinką koszulą, w złotym trzewiku na nodze. Sygnety miała na rękę, a kiedy się sygnetowi przypatrzono, było sygnety kawalera, w którym się dawniej kochała.

Kawaler zachorował i umarł do doby, ale skończył przykładnie, przyznał się do winy ludziom, i zapragnął wiedzą; kawalera pochowano w spinie, a pannę w sygnecie, w jednym kościele i na jednym dniu odprawiali exekwie za ich dusze.

A co bałku? rzekł Semen, to jakby to stary ataman mówił, to bajka, ale jeśli nie mnie to panu Gwoździkowskiemu przecie będzie wiara. Oj tak tak, to nie tylko żywe, ale i martwe powieści. Ojciec mój służył u pana Wilczopolskiego podstolego, coto był posłem w Tureczyźnie, za kozaka. Pan lubił go i dobrze mu się działo, jeździli światem za białym liczkim, za czarnymi brwiami, a było pan przeborny i niemógł sobie dobrać żony, a pono niemyślał o niej. Raz tedy stało się tak, iż zajechali do jakiegoś dworu na Pobereżu. Pan podstoli bawił tam dni kilka, bo mu się jakieś wielkie sumy należały. Pan tamieczny nieumiał mu znaleźć miejsca, bo miał córkę na wydaniu, ale panna miała być pohana „wiszaj kate“ — mizdryła się do pana podstolego, ale jemu nie było to nawet i w głowie. Raz pod wieczór przybiega jej panna służąca do mego ojca, bo pomiarkowali że z całego dworu pan podstoli najlepiej lubił ojca mego, a panna była motorna, nuż pochlebiać, nuż prosić żeby jej dał włosów swego pana. Jakoś to się niepodobało ojcu memu, bo na co to komu czyje włosy się przydadzą, a zreszto jak tu włosów uciąć panu? Ale panna napierała się, ba i czort skusił, bo grube dawali pieniądze. Kto praworny, to i radny. Przed wyjazdem dał jej włosy, wziął czerwienice, i pojechali. Jadą dzień, jadą drugi,

aż tu dnia trzeciego pod wieczór woła pan na mego ojca „Jakoś okrył nogi? niedźwiedź z nóg mi spada“ poprawił ojciec futro i otulił nogi, ba raz i drugi i trzeci toż samo. Pan się gniewa „stój!“ stanęli. Wiatru nie było a niedźwiedzia podrywa; trzyma ojciec, trzyma pan, niedźwiedzia jak rwie tak rwie i porwało, poniosło powietrzem, a tak wysoko że w mig go już niewidzieli. Pan się zadziwił i pyta mego ojca: Ochota! a to co? a Ochota pobladł i przyznał się panu do wszystkiego. Panny się niezbyt było, co było czynić? Pan miał czarne włosy, niedźwiedź czarne kudły, myślał ojciec sobie: nuż nie dam włosów, twardszy sposób najdą. Miało potaszczyć pana, to niech taszczy niedźwiedzia; ale już nigdy więcej tam niebyli w tym dworze. — Czort was bierz z pieniędzmi! mawiał pan podstoli, i nieraz, niejednemu sam o tem rozповідаł.

Długo niemogłem usnąć po tych powieściach, późno w noc słyszałem krzyk kulonów nad wodą i chrupanie pasących się koni. Wszyscy usnęli, ogniska nie było już komu dołożyć, w końcu rozmarzył mi zapach siana na którym nam posłano, a we śnie niosło mi powietrzem, za panną piękną i bladą jak lilia.....

Nieco o Francii.

(Dokończenie)

„Wreszcie, dowiedzionem jest, rzecze, że Laffarge, ten zacny, honorowy mąż w samej sile życia trucizną zgładzony został; jakaż ręka tę truciznę podać mu mogła? Juźci nie ta godna, nieszczęśliwa matka, która tu we łzach tonącą widziecie. Juźci nie ta czuła siostra, towarzyszka, przyjaciółka młodocianych dni jego! a nikt prócz nich do choroego przystępu nie miał; i to mimo woli żony, która usuwając wszystkich, rada była sama wszelkie przy nim usługi pełnić.

Po tej przemowie, każdy ma tylko przed oczami te patryarchalne cnoty, to domowe szczęście, a wzrok z ohydą odwraca od tej co go tak nielitościwie zniszczyła. Największa maladwersia w zamian pierwszego interesu ją otacza.

Tu się zaczynają zeznania świadków przeciw zaskarżonej stojących. Ci coraz szczegółowiej, coraz głębiej wchodząc w tajniki domowe rodziny zmarłego, mimowolnie wykrywają:

1) Że pan Laffarge był pierwszego rzędu szalbierz. Więcej mając długów niż majątku, frymarezył fałszywemi obligami których podpisy w Paryżu po pięć *sous* płacił.

2) Że się u jakiejś tandeciarki zapoznał z drugim podobnym szalbierzem, i natychmiast z nim w najściślejsze wszedł stosunki. Ten dwojaki nosił nazwisko; w Paryżu inaczej a inaczej w Glandier go zwano. Był on niegdyś szynkarzem (*marchand des liquers*) a zbankrutowawszy lichwiarstwem się trudnił. Laffarge podczas ostatniej swej bytności w Paryżu sprowadził sekretnie owego Denis, wspólnika swego, i rozmaitych z jego pomocą szachrajstw próbował dla zaciągnięcia pożyczki.

Okazał się oraz jakiś zfałszowany list, z udanym podpisem szwagra zaskarżonej, za którym także udało mu się kilku tysięczną sumę zagarnąć.

Powołany pierwszej żony Laffarga ojciec, zeznał że były zięć jego był równie złym mężem, jak niesumiennym człowiekiem. „Gdy po najpiękniejszych, rzekł, obietnicach majątkowych, zajrzałem do ksiąg jego, przekonałem się z zadziwieniem że Laffarge był bankrutem. Wymawiać mu to począłem, na co on mi odrzekł, iż gdy musiał kogoś oszukać, wołał mnie niż kogo innego; poczem dodał, że gdyby wiedział kto mi księgi pokazał, natychmiastby mu w łeb strzelił.

Moja córka, mówił dalej, nie tylko od męża lecz od całej familii jego dużo ucierpiała. Razu jednego z trzeciego pokoju usłyszałem wrzawę: była to kłótnia ze starą panną Laffarge, którą syn poszedł usmierać. Dość powiedzieć, że taki powziął wstręt do tego piekła, iż niepojechałem do Glandier nawet gdy m uwiadomiony został o chorobie mej biednej córki!“

Z innych zeznań okazało się że stara pani Laffarge, jak tylko dowiedziała się o zamienionych testamentach między nowemi małżonkami, wykradła i rozpieczętowała testament synowej. Następnie otrzymała od syna nowy sekretny zapis, dla siebie i córki, który jako późniejszy niszczył ważność pierwszego.

Opowiedziano także jak po powrocie z Paryża pana Laffarge, matka jego wraz z siostrą natychmiast poczęły wieści o truciznie rozsiewać, w końcu choremu powiedziały iż według wszelkiego podobieństwa żona mu arszeniku zadała! A tak może same zgon jego przyspieszyły.

Ja przynajmniej czuję w sercu, iż gdyby mi powiedziano że ręka najukochańszej istoty, w której całe szczęście, wiara, cała przyszłość położone, z zimną krwią zdradziecką mi śmierć gotuje; o! czuję, że niepotrzeba byłoby innej trucizny.

Po śmierci Laffarga, gdy zaledwo jeszcze powieki stulił, matka zawołała kazala ślusarza, a podszedłszy synową, dla odwołania ją z pokoju, kazala odrywać zamki i deski z szaf jej i biórek, a sama pozabierała papiery i t. d.

Oto są główne rysy tego co się w Glandier działo. Tysiąc innych jeszcze podrzędnych kłamstw, intryg, oszustw, dostatecznych do zapętnienia całego niecnego życia, wszystkich w przeciagu pięciu miesięcy, od ożenienia Laffarga do zgonu jego, dokonano się w onej rodzinie, tylkoco za wzór cnót patriarchalnych podanej.

Takto cały ten rajsiki obraz prokuratora generalnego, stopniowo się przyćmił, i raczej w piekielnem świetle się w końcu okazał; a jakkolwiek dziwną jest rzeczą, że nowa do famili przybyła Maria, po pierwszym tak gwałtownie okazanym wstępie mogła się z nią w krótkce pojednać, że ten wstręt niewzmagał się owszem, w miarę jak się rozpatrywała i poznawała prawidła jakimi się tam rządono, jednak w pośród niej, niemogła się ona już wydać, tylko jak istota jeżeli nie czystsza, przynajmniej wyższa. Przypuszczenie nawet że ona może być ofarą okrutnego spisku, niezdawało się niepodobne, tem bardziej że żaden z licznych zarzutów nieadał się materialnie dowieść.

Adwokat generalny który z sędziami i przysięgłymi podzielał moralne przekonanie winy pani Laffarge, oburzony tem jej, że tak powiem, powodzeniem, niezręczną zawziętością, słowami prawie nieprzyzwolonymi, jeszcze bardziej obudzał to współczucie, które odepchnięte od rodziny zmarłego ku niej się zwracać poczęło. Im gwałtowniejsze on na nią pociski młotał, tym gorliwiej pragniono jej uniewinnienia. Do tego słabość codzienną wzmagała się jej zdrowia, tak że się czasem obawiano żeby stanowczej niedoczekala chwili, wreszcie to uczucie litości od którego trudno się obronić widząc młodą kobietę już prawie pod mieczem stojącą, wszystko za nią mówiło; a urok jej stylu, dowcipu, rozmowy, do najwyższego stopnia młode zapalał głowy.

Tak proces ten (którego spory gruby tom utworzył) ciągnął się już blisko miesiąc, a nikt jeszcze rozwiązanie nieprzewidywał. Niktby był nieśmiały wyrokować, przysięgli sami niewiedzieli co myśleć, czemu wierzyć. Każdy powtarzał że może przez złość do Marii arseniku wszędzie ponasyprawano, że może Laffarge zszedł naturalną śmiercią. Biegłym którym przed rozpoczęciem sprawy były poruczone chemiczne doświadczenia na zmarłym, maszyna w samej operacji pękła. Próba zatem należyście dokonana nieoszasta; zdanie ich niebyto należyście oparte. — Rozkazano nowe próby czynić, to jest, że proces od początku wzięto.

Tu się zaczyna nowa kolej obrzydliwości innego w prawdzie rodzaju, ale które w opowiadaniu nawet wstręt rodzą; od których mniemam każdy rad odwrócić oczy... myślę się, nie każdy... zapomniałam że tam były przytomne damy, eleganci nawet, a każda chciwie patrzała.

Trybunał nowych mianuje lekarzy, biegłych. Ci udają się do Glandier na miejsce tą razą już niewłaściwie zwane *wiecznego spoczynku*. Groby burzą,

popioły wstrząsają; z pod wielu innych wydobywają Laffarga reszty, w takim stanie korupcji iż łyżką je kładną w garnki i butelki, i przywożą je opleczetowane do Tulle.

Skrzynia cała tych naczyń pełna, przyniesiona na sądową salę gdzie obwiniona żona, oraz matka i siostra zmarłego przytomne, staje się przedmiotem ogólnej uwagi. Oto są, mówią wydobywając z niej garnki, wnętrzości Laffarga, tu serce jego, tu reszta uda a tu womity i t. d. Wszyscy chustki do nosa przykładają, a wzrok dzieli się między tym człowieczym płynem, a wyrazem wdowy na niego patrzącym.

Biegli po rozmaitych próbach oświadczają, że w pozostałych lekarstwach arseniku przytomność niezawodna, lecz w resztach zmarłego najdrobniejszej miazgi znaleźć niepodobna.

Radość ogólna! — Zbrodnia zmyślona! — zbrodni niebyto, nie ma!

Obronca pani Laffarge podziela nierozsądnie tę radość, jakby w tem był cały środek obrony jego; jakby potrzeba było tego warunku dla uniewinnienia obwinionej; jakby podzielał przekonanie że nikt inny, jak jego klientka niemogł być sprawcą zbrodni, gdyby istotnie Laffarge się otrutym okazał.

Lecz strona przeciwna nieprzestaje na tem. Mniemają że zapal ogólny dla pani Laffarge okazywany wywarł pewny wpływ na zeznanie biegłych. Pierwsi, mówią, utrzymywali przytomność arseniku w ciele, drudzy ją zaprzeczają; trzeba trzeciej próby; trzecie dopiero zeznanie będzie stanowczem.

Wzywają sławnego Orfila. Orfila głowa nauki lekarskiej we Francji, ośm tomów o truciznach napisał, całe życie strawił na dochodzeniu ich przyczyn, działań i skutków; zdanie jego żadnemu zaprzeczeniu uledeż się nieleka, w przytomności dwóch dodanych mu lekarzy, nowe rozpocznie próby i wszystkim wahaniem koniec położy.

Orfila przybywa z Paryża: zbierają dla niego ostatnie kawalki serca, wątroby, kiszki i t. d. biednego Laffarga. Uczony biegły zabiera wszystko; oddala się do laboratorium, nowo wynaleziony aparat (*marsch* zwany) nastraja, urządza, i jakby nowy Samuela towarzysz, gotuje, przelewa, ulotnia... i on i wszyscy przytomni oniemał nie mdleją z nieznośnego zaduchu... W końcu arsenik wydobyty, przytomność jego w resztkach zmarłego niewątpliwa... straszliwa zbrodnia na nowo się odrodziła.

Orfila na dzień następny gotuje zdanie sprawy. To zdanie sprawy będzie wyrokiem obwinionej, wyrokiem śmierci, lub odpowiedniej jej kary. Nikt o tem wątpić nie może; co nieprzeszkadza wszakże iż wyszedłszy z owego laboratorium wszyscy lekarze, chemiki i inni świadkowie, oraz co tylko Tulle wówczas znakomitego posiadało, udają się na wielką ucztę na przyjęcie mądrego Orfila daną. Tam rozmowy, żarty, śmiech, hałas, w końcu liczne toasty i przemowy!...

W kilkanaście godzin potem, nad łóżkiem omdłonej pani Laffarge, odczytano jej wyrok, który ją na pęgierz i na całe życie do ciężkich robót skazywał.

Proces ten, większy nad wszystkie wyobrażenia miał rozgłos nie tylko w Paryżu, we Francji, lecz można mówić w całej Europie. Włókł on się więcej miesiąca, bo od 13 sierpnia do 19 września, a mimoto pełno w nim punktów jakby z umysłu bez wyjaśnienia zostawionych.

Obronca, na przykład, obżałowanej, wytknąwszy

że Denis, ten przyjaciel i wspólnik Laffarge, o którym wyżej mówiliśmy, był człowiekiem bez czci a niegodzien wiary, gdy tak rzucił na niego cień podejrzenia o zbrodnię, nie tylko że się nie starał dalej go ścigać, ale jakby w obawie, żeby dalsze zgłębianie postępowania i obrotów jego zbytecznie go w tej mierze nie oczyściło, w późniejszych sporach, jak i w obronie wcale o nim niewspominał. Ciągłe się tylko odwoływał do pięknie brzmiącej sentencji „że pani Laffarge, daleka od chęci obwiniania, nie chce posądzać nikogo: że niema odważyć rzucić na Kogobądz tego zarzutu pod ciężarem którego sama upada.“

Szlachetność piękna zapewne rzeczą; lecz jakże tu nie w miejscu, kiedy otrucie dowiedzione, niewątpliwie! kiedy arszeniku nietylko w tych nieformalnych, zepsutych resztkach, w lekarstwach, napojach pełno, ale nawet w puszcze z gumą arabską którą pani Laffarge zawsze przy sobie nosiła, mając zwyczaj częstego tej gumy zażywania.

Jak nie było szukać, ścigać tej ręki co tak hojnie wszędzie truciznę siała? a to tem bardziej że obwiniona kilkakrotnie zapytywana co to był za proszek który widziano jak sypała do napojów męża, ciągle utrzymywała że to była guma arabska na proszek utłuczona, której dobre skutki były jej z codziennego doświadczenia znane.

Wreszcie, jeżeli nawet pani Laffarge tak się daleko wspaniałomyślnością unosiła iż zezwalała hańbę i karę cudzej zbrodni na się przyjąć, obrońca jej w interesie sprawiedliwości, prawdy i moralności powinien był za pierwszy obowiązek sobie poczytać, żadnych nie szczędzić usiłowań do wykrycia prawdziwego zbrodni sprawcy...

Tymczasem, wcale tej dążności w całym działaniu mecenasa Paillet nie postrzegamy. Większą część swej obrony poświęcił odczytaniu dawnych listów pani Laffarge, z rozmaitych życia jej epok. Dalej w słowach doborowych, gładzie cały od dawna znany swój dar wymowy rozwinął opowiedział starą legendę Glandier, tego miejsca, okropnego wspomnienia: „Tam, rzekł, przed wielu laty, podobnie jak teraz niewiasta pełna cnót i zalet, kobieta niewinna, oskarżona także o otrucie męża, na śmierć skazana, poniosła swą głowę, jak niewinnym przystało, odważnie i bez szemrania.

— Niewinność jej wykryto... niestety za późno!... Na okupienie wykroczenia tego, w miejscu zamku Glandier założono klasztor; ten powtórnie teraz w pałac zmieniony, oby niebył podobnegoż wypadku świadkiem!...“

Dwie trzecie tej obrony, acz się tem milej słuchać i czytać dają że do romansu zbliżone, żadnych silnych dowodów na poparcie pięknych słów nieprzystaczają. Co tem dziwniejsza iż obrońca widział jakich mu los tą razą przysięgłych wybrał: to jest ludzi całkiem prostych, nieczytanych, jak łatwo wnieść można było, na wdzięk wszelkich poetyczno-łutnych ustępów, wyobrażeń górnych, okresów harmonijnych; dla których trzeba właśnie było dotykanych prawd, rzeczy, a nie słów.

Odczytanie listów, jeżeli miało na celu ujęcie stu-

chaczy pięknoscią stylu, cel ten zapewne osiągnięty został. Treść ich zaś mało albo wcale w pomoc obrony iść nie mogła. Jeżeli bowiem w ostatnich była wzmianka o odmianach i upiększeniach Glandier, co dowodziło że pani Laffarge długi w nim zamieszkała, to jeszcze nieniosło wniosku, że zamieszkała tam mieszkając z mężem. Pani Laffarge w wiadomości ostatniego testamentu, tak dalece była przekonana że ta majątność po zejściu męża jej będzie własnością, iż natychmiast po zgonie jego pisała do swej ciotki, pani Garrat, prosząc o przysłanie z Paryża niejakiego pana Karola (uprzywilejowane w tej sprawie, jak widać, imię) do pomocy jej w zawiadowaniu interesami i kuźnią, naco pani Garrat odpisała że pan Karol oświadczył, iż się nie ruszy z miejsca bez zapewnionych sobie 20,000 franków rocznie; lecz dodaje ciotka będzie dość czasu do pomyślenia o tem gdy już testament wyeksekwowany zostanie.

W końcu zapytuje Paillet jakie mogły być dla żony powody podobnej zbrodni? — Nie interes, ponieważ majątki wspólnymi zapisami połączone, a prócz tego pani Laffarge w każdej okoliczności wszelkie ze swej strony poświęcenia czynić okazywała się gotową. Nie wstręt nienawistny, ponieważ nienawisci nie było, owszem ku końcowi najczulszą miłość widzimy...“

Zapewne, jeżeli tę gwałtowną miłość uważać za równie rzetelną jak niespodzianie i raptownie zrodzoną, wszelką słuszność miało dowodzenie obroncy. Lecz prokurator generalny, ten nieprzebieganej zawziętości nieprzyjaciel pani Laffarge, niechciał ją nigdy przedstawić w innym świetle, tylko jak sposób użyty do osiągnięcia głównego celu w pierwszym liście mimowolnie wyjawionego: celu zerwania związku, niepodobnego (jak się w owym liście sama wyraża) między istotami, między którymi wychowana, nałogi, zwyczaje, wszystko położyło niezmierną przesztętn.

W pierwszej chwili każdy odurzony tym zbilem niegodziwości trudnych do pojęcia, trudniejszych do uwierzenia, niemogąc jeszcze rozwikłać swych wrażeń, nie śmiał prawie mieć zdania o tej sprawie. Później niejednen powiedział że gdyby Francja zezwoliła na rozwody, nie widziałaby podobnych zbrodni.

Pani Laffarge odwołała się do kassacji.

Trybunał Kassacyjny łamie, jak wiadomo, każdy proces, którego formalności prawne dopetnione nie były. W tak wątle prowadzonej sprawie nie trudno było wynaleść nie jeden powód skargi; jakoż po dwu miesięcznej przerwie przedstawiono ich siedmnaście.

Pomimo niezmordowanych usiłowań przyjaciół pani Laffarge, którzy wszystko zgromadzili co tylko do unieważnienia procesu posłużyć mogło, sąd kassacyjny zatwierdził zapadły na nią wyrok. Ostatecznie przeto udała się jeszcze osądzona do łaski królewskiej, i otrzymała złagodzenie wyroku w ten sposób, że już pod pręgierzem wystawioną niebyła, a wprost odprowadzoną została do więzienia, gdzie resztę życia swego dokona.

Jeśli by kto z szanownych prenumeratorów doznał jakowej nieregularności w odbieraniu tego dziennika, raczy listownie zawiadomić o tem redakcję, która natychmiast temu nadal zapobieży.